ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I. Warszawa, dnia 12 czerwca 1909 r. № 24.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

13

Powieść historyczna.

Aż kiedy po raz trzeci rejent dotarł do końca opowieści, rejencina zakomenderowała omdlewającym głosem:

— Surdut odświętny weź i do gościa... no, rusz się, duszko...

W tem miejscu zpod przymkniętych powiek rejenciny padło na rejenta tak smętne spojrzenie, że pan Piotr jeno ku opuszczonej bezwładnie ręce swej małżonki zerknął i, przysunąwszy się skwapliwie do skrzyni, dobył pośpiesznie surduta granatowego, napoleońskim krojem uszytego, i jął go przywdziewać.

— Maryś żółtka ukręci! — powtórzyła rejencina, zaglądając kolejno do kuchni i do sąsiedniej sypialki.—A nie zapomnij chustki na szyję! Maryś!..

— Pamiętam, już mam! — odrzekł pan Piotr i ku drzwiom do sieni zawrócił.

— Pozwól, Pietruleczku, a Maryś, gdzie Maryś?!

— Maryś? — powtórzył rejent, rozglądając się po świetlicy. — Nie wiem...

— Więc szukaj, rusz się, poskocz, Pietruńciu, mówię: poskocz!..

Rejent zatoczył się, minął chwiejącą się zdradliwie postać małżonki i wybiegł do kuchni, stąd do sypialki, z sypialki do alkierza, z alkierza do sieni i do ogródka, lecz Marysi, bratanicy, chrześniaczki, nigdzie ani śladu. Tymczasem głos rejenciny ścigał go coraz smętniej, coraz żałośniej.

Pan Piotr aż spotniał. Po raz wtóry i trzeci kąty dworku przejrzał, nie pominął kurników, nie darował chlewkom, był u pocztmistrzów, u asesorów na podjeziorzu za zamkiem i znów dworek obchodził—daremnie. A tu rejencina coraz bliżej nań następowała, coraz czulej do poszukiwań zachęcała, a tam gość w kancelaryi sam siedział i nie wiedzieć co za suppozycye czynił.

Tak chodząc a kołując, a bacząc na omdlewające poruszenia rejenciny, pan Piotr, bardziej dla gorliwości okazania, niż dla nadziei wykrycia zaginionej, wspiął się po drabinie na strych.

Aliści, zanim z ostatniego szczebla nogę dźwignął, aż stęknął z ukontentowania.

Marysia stała tuż, z główką, do szybki dymnika przyciśniętą.

Rejent poskoczył do bratanicy.

— Bój się Boga, Maryś! a tobie co tutaj?

Maryś ani drgnęła. Rejent zajrzał od boku.

Twarzyczka rozogniona, oczka w nejtyczankę, stojącą pod dworkiem, wlepione, nosek czerwony a napęczniały.

— Może... może pani stryjenka? Co?—mruknął pan Piotr, odciągając dziewczynę od dymnika.

Marysia oczy spuściła i główką potrząsnęła.

— Widzisz! A ja tu szukam! Choćbyś się ozwała. Co tam, faramuszki jakieś! pewnie niema czego! No, no, otrząśnij mi się. Musisz niejedno pani stryjence dopomódz; gościa mamy— i nielada, magnacika... wypadnie sprezentować się przystojnie... klient taki, że...

Marysia kiwnęła główką z przejęciem i wybuchnęła płaczem.

— Że... że... o, Jezu, proszę stryjcia!..

— Co tobie? na Boga! Dziewczyno, zmiłuj się!

Marysia uchwyciła rejenta za szyję.

— To aby tak... z wielkiej, z wielkiej uciechy...

— Hę? Co powiadasz?

— No, że... że przyjechał nareszcie!

— Kto? Dokąd?

— Przecież... Juliś, Grużewski!

Rejentowi czub się zjeżył.

— Juliś, powiadasz, Grużewski? Hę? A waćpanna skąd go? a waćpanna kiedy? a toż co?!..

Marysia, miast się zawstydzić,

główkę wtył odrzuciła i rzekła z przekonaniem:

— Uch, proszę stryjcia, toć jeszcze w Krożach, u benedyktynek, dwa razy mi zaprzysiągł!

Imć Raszanowicz osłupiał, lecz nim na słowo się zdobył, ugiął się pod ciężarem ręki, która mu na ramieniu spoczęła.

— Pietruleczku, prosiłam, do gościa iść...

— Idę, kochanie, jeno Maryś właśnie...

— To nie twoja sprawa — poskocz, Pietruńciu, z serca... proszę..

Tu ręka rejenciny, ciążąca na ramieniu imć Raszanowicza, usunęła się tak sztucznie, że rejent, jak z procy, ku drabinie wyleciał.

Gdy się to działo, Juliusz tymczasem w kancelaryi układał dalszy plan swej wyprawy na dom rejenta.

Dotąd wszystko poszło mu według zamierzeń. Teraz wypadnie mu jeno napomknąć coś o Raszanowiczach, wypomnieć znajomość swą z Marysią i ucieszyć się szczęśliwemu zbiegowi, aby tem wszelki domysł usunąć. A potem już, potem zaczaić się, pochwycić sposobność zostania sam na sam i dopieroż!.. Dopieroż rozmawiać się będą, dopieroż jej powie...

W tęm miejscu Grużewski czoło potarł, niby pierwszego odezwania się swego do Marysi szukając, lecz to odezwanie skryło mu się gdzieś za szeregiem natrętnych, dokuczliwych pytań, więc z niemi jął się rozprawiać.

— Co jej powie? Mnóstwo, mnóstwo rzeczy. I mniejsza, od czego zacznie. Miłuje ją? Oczywiście! A dalej? Dalej?.. Nic. Złego? Niema nic złego. Ród dobry, poczciwy, lepszy od niejednego hrabskiego... co to na dwóch stołkach siedzi, tu ojców ojczyzny udaje, a tam do klucza szambelańskiego się wdzięczy, albo parenteli z byle generałem szuka! Żenić się? Znów tak od razu nie myśli. A gdyby co do czego przyszło, — to i Marysia potrafiłaby, i ona umiałaby, choć na klawikordzie. U benedyktynek krożańskich nawet Szemiotówny, najprawdziwsze Szemiotówny z Dykteryszek, naukę pobierały. A Szemioty, wiadomo, od Perkuna się wywodzą. Niezawodnie, trzeba tylko rozumem brać. Tam, w Liksnie, majaczyły mu się koszałki-opałki; jeszcze wczoraj, w Rężycy na popasie, z żałości go paliło. I po czem? Hm, być może, gdyby inaczej, gdyby hrabianka, gdyby Emilia... Ale cóż, przekonał się, ostatecznie przekonał. I jakież porównanie! Tu sentyment rzeczywisty, tyloletni, dla którego okropności całe wycierpiał. A tam, tam przelotna znajomość i rankor. Sprawiedliwy rankor, lecz z rankoru jakaż wróżba dla sentymentu? Nie było go i niema... A tu jest, tkwi od pacholęctwa.

Jeżeli Grużewski, rozmyślając tak a ważąc, miał wątpliwości co do uczuć, które go w dom stryjostwa Marysi przywiodły, to wątpliwości te w spojrzeniu powitalnem panny Marysi na zupełną poszły zagładę.

Juliusz promieniał. Gdzieżby spodziewać się mógł, żeby ta wystrojona, pośmigła a wdzięczna panna mogła być tą dawną „pulchrą“ krożańską. Urosła, wybielała, wypiękniała, że nie poznać; gdyby nie oczy, niebieskiemi żyłkami w tęczówkach nakreskowane, a po dawnemu źrenicami piekące, nie przypuściłby, że ma wprost siebie, za stołem, Marysię Raszanowiczównę.

Ale bo i wszystko szło teraz Grużewskiemu, jak z płatka. I polityczne wypomnienie o znajomości swej z panną, i przywitanie samo z Marysią, i uprzejme zdumienie rejenta, i pierwsze odezwanie rejenciny, jedno z drugiego się motało najpomyślniej, bez zająknienia, bez mitręgi.

Przy obiedzie Juliusz czuł się nieomal wniebowziętym. Nigdy jeszcze tak, jak tutaj, go nie honorowano, nigdy tyle mu zachowania nie okazywano, nigdy nie był przedmiotem tak bacznej a miłej gościnności.

Gdy mówił, cisza zalegała komnatkę, gdy kończył potrawę, sześcioro rąk półmisek mu podsuwało a chór głosów zapraszał błagalnie. Rejent, za każdym łykiem wina, skradał się z butlą do szklanki Grużewskiego, rejencina co moment to z sosem, to z solą, to z cukrem się nastręczała, a panna Marysia piekła Juliusza ślepkami, a spojrzenia jego szukała. Grużewski zresztą nie potrzebował symulować obojętności. Rejent miał pod ręką tyle do powiedzenia o sporze granicznym dominikanów posińskich i o staroście Borchu, który „Trzema kawkami“ akt zgody w jego obecności napieczętował, a rejencina tyle spraw pilnych do kuchni, że Juliusz mógł, ile chciał, milczeć, a raczej błyskami oczu z Marysią się rozmawiać.

Pod koniec obiadu Grużewski zaczął turbować się, czyli znajdzie sposobność do pozostania sam na sam z Marysią. Aliści przypadek sprawił, że i temu pragnieniu stało się zadość, i to tak szybko, że Juliusz ledwie zoryentować się mógł, iż rejencina wyszła do kuchni i męża za sobą wywołała, i że główka Marysi chyli się ku niemu, a wpółrozwartemi ustkami z ust jego każde drgnienie sposobi się chwytać.

Juliusz stropił się nieco, lecz się opamiętał i bąknął nieśmiało:

— Mam wiele do powiedzenia...

— I ja także!—przyświadczyła skwapliwie Marysia.

— Więc trzeba... trzeba...—zaczął Grużewski i urwał, bo w sąsiedniej kuchni naczynia zastukotały raptownie, a śpiewny głos rejenciny ozwał się pełniej.

Marysia brewkami do góry podrzuciła i zachęciła szeptem:

— Coo?!

— To jest, trzeba, żeby coś...— plątał się Juliusz, zezując niespokojnie ku drzwiom do kuchni.

Pulchra krożańska wyczekała chwilkę, zaczem wyrzuciła jednem tchnieniem:

— Po podwieczorku niech się na zamek iść napiera.

— Na?!..

— Zamek! — dokończyła energicznie panna Marysia.

Wejście rejenta udaremniło dalsze wyjaśnienia, czem Grużewskiego na nielada skazało mękę, bo, o ile doskonale pojął, iż Marysia w owem napieraniu się na zamek znalazła niechybną do rozmówienia się sposobność, o tyle ani wyobrażenia nie miał, o jakim zamku była mowa. A przecież wypadało

wiedzieć coś, choćby dla nawiązania kwestyi.

Z początku obiecywał sobie Juliusz, że przed podwieczorkiem znajdzie jeszcze moment na zamienienie dwóch słów z Marysią, lecz ta zaraz po obiedzie wysunęła się z komnaty i nie wracała.

Nadszedł wreszcie podwieczorek. Rejencina już miód wykładała do pszennych bułeczek a konfiturami częstowała; rejent, uporawszy się ze sprawą graniczną dominikanów posińskich, żwawiej krzepił się zieleniaczkiem a introdukcyę zagajał do ulubionego tematu ze swych wiłkomierskich czasów, kędy rozgrywał się głośny na całę Rzeczpospolitę proces Kossakowskiego z Tyzenhauzem, proces, który sejmem w następstwie zatrząsł a srogich kłopotów Stanom obradującym przyczynił, — a Marysi wciąż nie było widać.

Grużewskiemu przyszło do głowy, iż Marysia właśnie u kogoś w owym zamku nań czekała. Więc się zmógł i postanowił, bądź co bądź, nieszczęsnego zamku się dopytać. Na ten koniec przerwał imć Raszanowiczowi historyę małżeństwa Kossakowskiego z wdową po Tyzenhauzie i zagadnął:

— Daruj, panie rejencie, lecz ciekawym... Lucyna...

— Nie Lucyna jej było na imię, tylko Barbara.

— Rozumiem, lecz pytam o Lucyn, o tutejsze miasto...

Rejent machnął ręką desperacko.

— Mój dobrodzieju, łaskawco, niema o co, dalibóg, dalibóg niema!

— Ale przecież miasto!

— Dziura, królu mój, najdziurawsza... a nasz Wiłkomierz za czasów...

— Przepraszam, jednakże Lucyn był...

— Był, był! — podjął rejent smętnie.—Juści był, kiedy wszystko było! A teraz co? burłak starowierca z białym rusinem spiera się o ten dym, co im się z kurnej chaty kurzy! I co z tego? Batog strapczego im trybunali justycyę, a gęba strapczyny za jaj kobiałkę palestruje! Było! I niema! Gdyby nie cześnikowicz, co się po bożemu od lat dwudziestu o sukcesyę prawuje z bratem, tobyś gęsi przez rok nowego pióra do inkaustu nie wydarł. Pustka, królu mój. Ostatek Napolion nam wymiótł. Bieda jeno została i ta się pleni. Człekowi zwija się na wąpiu, gdy wspomni. Bacz, królu dobrodzieju mój, że niegdy inaczej bywało. Weź taki Wiłkomierz...

— Za pozwoleniem — wtrącił znów Juliusz, nawracając do Lucyna,—więc z dawnych czasów osobliwość niejedna została i budowla niejedna.

— Osobliwość!.. jest, jest, i taka, że drugiej chyba w Ziemi Obiecanej szukać. Imaginujże sobie, dobrodzieju, królu mój, żydków, za pługami chodzących! Owóż tu, w Lucynie, dla zupełnego zamożności wytrzebienia, taka się chanaańska narodziła obyczajność! Cóż, ruina, i jakiej w Wiłkomierzu...

— A zamek!—jęknął z desperacyą Grużewski.

— Choćby! Wiłkomierski Świdrygajłłę pamięta, a sterczy jeszcze cale tęgo.

DCN.

Władysław St. Reymont.

MARZYCIEL.

21

Jakiś drab w czerwonej kurcie zastąpił mu drogę.

— Nie można! tu tylko dla pasażerów pierwszej klasy.

— Idź do dyabła! — krzyknął rozkazująco i, chociaż strwożony własnem zuchwalstwem, wcisnął się do zadymionego wagonu i zasiadł przy jakimś stole—jak był utytłany w śniegu, w czapce na głowie, i zapalił papierosa.

Najbliższe stoliki przycichły, patrzano na niego z ciekawością, odsuwając się zarazem z lekceważącą niechęcią, jak od intruza.

Przyleciał do niego starszy garson i szepnął z impertynencką uniżonością:

— Przedział dla niepalących i kuchnia już nic nie wydaje!

— Przynieś mi wódki, tylko prędko! — rozkazał mu bardzo wyniośle.

— Panie konduktorze, czy prędko pojedziemy? — spytał go jakiś sąsiad.

— Jak pociąg odkopią — odburknął, wpatrzony w księżniczkę.

— A kiedyż nareszcie odkopią? Stoimy już parę godzin.

— Jak odkopią!

— Boże, co za porządki! Za granicą byłoby to wprost niemożebne!—jęczał głos.

— I za granicą padają śniegi!— odrzucił szyderczo.

Przy sąsiednim stoliku roześmiano się z tej odpowiedzi, a on tak był przemarznięty, zmęczony i zarazem onieśmielony tem towarzystwem i blizkością księżniczki, że skoro garson przyniósł wódkę, przypiął się do niej żarliwie i pił kieliszek za kieliszkiem. Zwróciło to powszechną uwagę; jakieś panie przyglądały mu się przez szkła, czyniąc przytem głupie a złośliwe komentarze, a kilku panów przysiadło się bliżej, zawiązując rozmowę na temat zamieci. Józio chętnie odpowiadał, a pragnąc zwrócić na siebie chociażby przelotne spojrzenia księżniczki, stawał się coraz swobodniejszy, mówił głośno i dowcipkował.

Ale biała księżniczka nie raczyła go nawet zauważyć, wciąż zajęta rozmową z grubym panem i jakby wielce rozbawiona.

A Józio, podniecany wódką, otoczeniem i jej obojętnością, plótł już, co mu ślina przyniosła, opowiadał nawet jakieś pocieszne

a tłuste dykteryjki kolejarskie, z których się zaśmiewano, trącał się z każdym, kto chciał, pił na umor, wznosił jakieś tajemnicze zdrowia, wybuchał co chwila śmiechem i tak porwał wszystkich i rozbawiał szaloną werwą, że otaczali go coraz ciaśniejszem kołem.

Tylko księżniczka wciąż nie zwracała na niego uwagi.

Zerwał się w jakiejś chwili, zatoczył błędnemi już oczami i wybełkotał:

— Urznąłem się, jak świnia!

Zaśmiał się smutno, rozpaczliwie, machnął ręką i wyskoczył z wagonu.

Noc go otuliła w lodowaty płaszcz wichrów i śnieżycy, nawet nie poczuł tego, nie wiedział bowiem, co się z nim dzieje. Powlókł się nieprzytomnie w rozszalałą topiel zamieci.

— A ja sobie głupi roiłem! — załkał naraz boleśnie, smutek ścisnął mu serce i oczy napełniły się gorzkiemi, żałosnemi łzami.

Poczuł się zupełnie pijanym, więcej jednak, niźli wódka, oszołomił go gryzący jad zawodu, a przygody tej dziwnej nocy jęły się w nim skłębiać w taki chaotyczny wir, że już zgoła nie wiedział, co było rzeczywistością, a co tylko marzeniem, ale nim zdołał zrozumieć cośkolwiek, zapomniał o sobie i o całym świecie. Rozejrzał się nieprzytomnie po ślepej, skołtunionej nocy i ruszył bezwiednie w kierunku swojej maszyny...

Przechodził wzdłuż zasypanego pociągu i zaglądał w każde oświetlone okno, jakby kogoś wypatrując po korytarzach i wagonach, ale przez zamarznięte szyby majaczyły tylko jakieś obce, groźne twarze i jakieś oczy błyskały tak złowrogo, że cofał się z przerażeniem i szeptał coraz ciszej i żałośniej:

— Nie poznała mnie księżniczka! Nie poznała!

Miał oczy, pełne zamarzłych łez, i serce, pełne bolesnej skargi.

A gdy się znalazł w czystem polu, jakby na samem dnie skłębionej nocy, gdy zawierucha zawyła mu nad głową groźnemi głosami, a wichry zaczęły go bić i szarpać nim, jakby oderwaną gałęzią, i miotać po zaspach i dołach, rozgniewał się, pogroził pięścią w niebo i zawołał:

— Głupie bydlę! Głupie! Głupie!—wrzeszczał z pijackim uporem i powlókł się dalej nieprzytomny i pijany, jak cały świat, jak ta zwichrzona zamieć, jak te bory, rozkołysane i krzyczące w nieustannej walce, jak te złe, szalejące wichry! Bo dokoła niego wszystko już było niczem, ruchem, krzykiem i zmaganiem się dzikich potęg, wszystko było walką, zamętem i szałem—a wszystko jednako biło w jego roztęsknioną duszę i wyło w niej krzywdą doznaną i strasznym, żalnym płaczem.

— Dlaczego? Dlaczego? — jęczał niekiedy, wlekąc się coraz wolniej, gdyż nogi mu się plątały i poczuł się tak znużonym, że przysiadł pod jakąś zaspą i, wsłuchany w szumy zawiei i w niemilknącą gędźbę lasów, zasypiał słodkim, kojącym snem — a bory mu śpiewały jakieś tajemnicze, cudowne opowieści, a wichry szeptały jakieś upragnione, święte echa i, gładząc go pieściwie po twarzy, zasypywały miękkim, puszystym, białym całunem...

DCN.

Kornel Makuszyński.

PRZYKRE POŁOŻENIE.

Są rzeczy na ziemi i niebie, o których się nie śniło—„Przeglądowi filozoficznemu“. Są na ziemi rzeczy przykrzejsze, niż małżeństwo nawet,—są rzeczy bardziej smutne, niż rocznik polskiego pisma humorystycznego. Są rzeczy, które zostawiają po sobie wspomnienia trwalsze, niż proszony obiad, są rzeczy głupsze, niż mowy jubileuszowe. To są sensacyę życia, które jest z natury swojej indywiduum mocno głupawem i rzadko do sensacyi zdolnem... A nic bardziej nie wytrąca z równowagi, jak taki nagły odskok od utartego, jak szosa, szablonu, kiedy życie wierzgnie, jak muł, zrodzony z konia, osła i przypadku,—i wywróci dyliżans, zdążający truchcikiem ku stacyi niebieskiej, w rów przydrożny. Po co? na co? Czemu się nie dzieje wszystko tak, jak się dziać powinno, to znaczy—tak, jak napisali w „Tygodniku Mód i Powieści“, albo w romansie znanej zaszczytnie autorki, która wydała na świat czterdzieści dziewięć tomów i tylko troje dzieci, albo jak napisał poeta bardzo szanowany, który zwykle śpiewa przez łzy jakąś „mękę serdeczną“ i jakąś melancholię z czarnych najczarniejszą, a którego życie poi zawsze tylko trucizną, albowiem nie pija piwa słodzonego?

Nieraz się dzieje inaczej i to jest sensacya... A to jest źle. Na ludzi, nie przygotowanych do ciosu, działa to, jak uderzenie w głowę kołem, albo tomem poezyi; znam krytyka literackiego, (ożeniony z akuszerką były krawiec „męski, damski i dziecinny“) który odchorował ciężko wstęp z noweli, który on osądził, jako sensacyę. Przeczytał, zemdlał i trzy dni leżał nieprzytomny. Potem przyszedł do autora.

— Panie, — rzekł, — to się nie godzi!..

Spojrzał na niego autor, jak na waryata, albo zgoła, jak na człowieka, który założył w Polsce pismo literackie.

— Co się nie godzi, mistrzu?

— Pan tego nie powinien był zrobić...

— Jezus, Marya! Co ja mogłem takiego zrobić?

— Pan tego nie powinien był zrobić...

— Zabiłem kogo?

— Gorzej!.. jęknął krytyk.—Niech pan sobie przypomni, co pan napisał w ostatniej swojej noweli.

— No?

— Proszę pana! Bohater pański, człowiek młody i uczuciowy, wraca do domu, na wieś, *na wieś*, powtarzam, o zachodzie słońca... Wraca do rodziców, których nie widział pięć miesięcy...

— W istocie, potrzebował pieniędzy...

— Proszę pana! Bohater pański siedzi w powozie, przed nim naturalnie woźnica...

— Zrozumiałe!

— ...Woźnica, syn ziemi. Nieprawdaż? Zbliżają się do wsi rodzinnej; w tem miejscu, jak świat światem, obrócić się powinien woźnica w stronę gościa, i wskazując biczem oddaloną wieś powinien powiedzieć:

„Paniczu! ot i Czerwony Dwór — albo „ot i Podgaje!“, stosownie do geograficznego położenia... Proszę pana! W tem miejscu, jak świat światem, powinny konie, czując dom, pomknąć szybciej, a młody człowiek powinien unieść się z siedzenia, wpatrzyć się przez łzy w dal, zbudzić w sobie wspomnienia dziecinnych dni, a potem zapytać: „A zdrowi tam wszyscy w Czerwonym Dworze?“, albo coś równie powinien powiedzieć serdecznego. A pan co? U pana bohater śpi, a woźnica się upił...

— Obaj łajdaki — odrzekł autor ze zgorszeniem.

— Słusznie, drogi panie — rzekł mu krytyk,—ale tak nie można. W stu powieściach, w trzech tysiącach nowel woźnica się odwracał i wskazywał wieś batem, a pan go spija, jak zwierzę. To źle, drogi panie!.. Tak daleko nie zajedzie, są bowiem rzeczy uświęcone...

Ten krytyk miał słuszność. Są rzeczy uświęcone, a grzech przeciwko nim mści się ciężko. Oto był pisarz jeden, który napisał powieść, a w powieści tej rzeźbiarz był bohaterem (Rzeźbiarz tylko w ten sposób może być bohaterem). Rzeźbiarz ten zrobił naturalnie posąg swej kochanki, która go naturalnie zdradziła, tylko głupio, bo dopiero w ostatnim rozdziale. Co powinien teraz zrobić rzeźbiarz? Powinnie, jak świat światem, zaciąć usta i młotem roztrzaskać posąg. Tak było zawsze; tymczasem ten rzeźbiarz podarował posąg komuś na imieniny. Autor tej powieści zwaryował po roku, już więc widocznie w chwili tworzenia nie był przy zdrowych zmysłach.

Był kronikarz jeden, który, opisując rozpaczliwy stan bruków w swem mieście, nie położył na końcu notatki złowróżbnych a wiele mówiących dwóch słów: „*Bez komentarzy*“. Rozpił się i umarł w zakładzie.

Był malarz, który nie namalował w życiu ani jednego stawu i nawet sześciu dzikich kaczek, ani jednej „jutrzenki“, ani jednego psa z kotem z wdzięcznym podpisem „Przyjaciele“. Powiesił się i pochowano go bez księdza.

Była powieściopisarka, która nie napisała ani jednej powieści „w formie pamiętnika“ z przedmową, która oznajmia, że „osoby interesowane już dawno pomarły, więc im nie zaszkodzi ogłoszenie tych kart pożółkłych“. Ta zginęła w staropanieństwie.

Był poeta, który nie położył przy końcu książki dopisku, co się biografowi jego przyda: „Pisałem w maju i czerwcu u stóp Gaurisankaru“, albo „Warszawa—Capri, luty—listopad“. Człowiek ten szalony, który ponad to nad żadnym z wierszy nie dał motta, chociażby z Schopenhauera,—ożenił się...

To są rzeczy straszne. Tego się nie powinno mówić. Bo po co mówić o wyrzutkach, którzy się wynoszą po nad inne, miary nie znając; to też wylatują w kierunku stycznej poza krąg tego koła, co się obraca dokoła dobrze nasmarowanej osi, równo i składnie. To są doprawdy indywidua, nie zdolne napisać nawet porządnego aforyzmu w odpowiedzi na ankietę w sprawie kobiet upadłych.

Dawno już powiedział ktoś zapewne mądry, że życie jest—jak powieść. Bardzo słusznie powiedział i tak też być powinno, tylko rzecz wiadoma, że życie cierpi na uwiąd starczy, wskutek... przeżycia. To też się nieraz nie dzieje tak, jak się dziać powinno, jak się działo zawsze, i jak się dobrze działo; te sensacye życia należy notować, jak się notuje stan gorączki u chorego człowieka.

Przecież od wieków było tak, że kiedy podejrzliwy mąż wyjeżdżał, zawsze wracał niespodzianie, zawsze zastawał żonę w objęciach jakiegoś łotra, który (o, łajdak!) udawał jego przyjaciela; mąż był blady i błyskał lufą rewolweru, ona padała na kolana, a kochanek padał solidniej z przewierconą czaszką. Tak było zawsze i było dobrze, bo nie było powodu do zmian. Sytuacya się przyjęła we wszystkich sferach, z małemi zmianami, polegającemi na tem, że często i nieszczęśliwy mąż się strzelał, ale to już wtedy, kiedy powieść pisała kobieta, która chciała sprawę zakończyć więcej po chrześcijańsku. Co więc należy powiedzieć o ludziach, którzy urządzili sobie scenę zupełnie inaczej, zgoła podlej? Należy chyba pomyśleć, że społeczeństwo ma wypłowiałe sumienie i zgniły sposób reakcyi, skoro w najtragiczniejszych chwilach życia należące doń jednostki inscenizują scenę swoję na sposób głupkowaty — sceny zreformowanej?

Z całem oburzeniem wewnętrznem należy powtórzyć tu historyę, która tego właśnie dowodzi.

Działo się to, dyabli wiedzą, kiedy, zresztą, mniejsza o to. Była noc, rzecz naturalna, bo żadna romantyczna historya nie udaje się przy banalnem oświetleniu dziennem. Bohater miał nazwisko czterozgłoskowe. Powinno się wyjaśnić, dlaczego miał nazwisko tak długie, „z perspektywą“, jak Mark Twain powiada. Oto dlatego, że w literaturze rodzimej nazwiska rozciągają się z czasem, jak gęba w uśmiechu, jak wierszowana epopeja, która miała być „rapsodem“ na wierszy czterysta, jak znoszone ubranie, albo zgoła, jak długi honorowe. Dawno już temu bohater miał nazwisko krótkie, jak szczęk miecza, jeśli chodziło o sfery szlacheckie, albo jak kłapnięcie zębami z zimna i naturalnie z buntowniczej wściekłości, jeśli mowa była o maluczkich. Więc np. Strug, Kos, Wirch, Róg; potem rozmiękły nieco twarde te a mocne nazwania, i bohater wszelki zwał się nieco dłużej, dostojniej, ze spółgłoską często na końcu, co też miało swoje znaczenie subtelne; więc był: Czertwan, Krzemień, Topór, Łowicz, a jeśli bohater był artystą, zwał się: Drewicz, Orlicz, Wyrwicz, Rawicz, albo też wedle typów: Rzecki lub Płoński, co znów uległo z czasem zmianie na lepsze, bo każdy prawie artysta (zaś artysta w powieści nieszczęśliwy—zawsze) zwał się wedle odmiany na wzór: „Kurzawa“ — więc Warzecha, Doliwa, Szreniawa. Mimo takich herbowych zawołań, każda tak nazwana dusza, pomazana szczodrze przez Stwórcę, jedynego możliwego kuratora artystycznego cechu, miał w sobie zawsze, obok pierwiastków genialnie twórczych, przymieszkę brutalności, twardej i chłopskiej. Samym dźwiękiem imienia groził autor, że jego bohater twardy jest i w chwili stosownej kości połamać potrafi każdemu czarnemu charakterowi, którym wedle schematu był zawsze hrabia.

Dzieci onych mają już nazwiska czterozgłoskowe; nie, powinno się już dziś używać, nazywając imieniem bohatera powieści, nazwisk dwu lub trzyzgłoskowych; robią to tylko „klasycy“ z konsekwencyi, a młodzi dla powagi a dostojeństwa. Prawdziwy bohater nosić dziś powinien nazwisko długie, trudne do zapamiętania. Tak też i jest. Nie jest to reguła, ale kto z prądem idzie, ten niech czyni, jak należy.

Bohater tej skandalicznej opowieści nazywał się, nie wiadomo dość ściśle, dlaczego, Tomasz Robokszycki. Bardzo był miły człowiek; silny bardzo i rozrosły, z twarzą uśmiechniętą słodko, jakby najmniej ze dwie cukrownie posiadał—albo cukrowąchorobę, i zawsze wesoły, mimo że miał żonę, długi i chroniczny katar kiszek. Żonę miał cichą, łagodną, spokojną. Kiedy ją bolały zęby, mówiła nowennę, kiedy ją kto obraził, dawała żebrakowi kopiejkę, aby odkrzyczał pacierz za jej wroga. Takie pacierze, takie tanie pacierze nigdy, jak wiadomo, wrogowi na zdrowie nie wychodzą, ale ona czyniła to z czystości serca. Kobieta to była przedziwna. I za co ją zamęczył dnia jednego mąż jej, kat jednem słowem, albo nakładca, właściciel księgarni?..

Mąż wyjechał. Mówił, że wyjechał; tak się zawsze mówi i zawsze się temu wierzy; a on tymczasem stanął w ukryciu po drugiej stronie ulicy, w głębokim cieniu. Stał nie sam: była z nim wściekłość. Sądzę, że zwrot ten, przyzwoicie groźny, maluje sytuacyę dokładnie.

Był wieczór już późny, coś około dwunastej: śnieg się skrzył na ulicy przytłumionym blaskiem, mróz się tulił do kamienicznych ścian i czaił się przy bramach kamienicznych, jak nocny włóczęga, czekając, aż wyjdzie ktoś ze skarbem ciepła, komuby je można wydrzeć, chociażby je na piersiach nawet ukrył. Robokszycki stał, jak posąg, tylko od czasu do czasu, kiedy kto przebiegał szybko ulicą, ruszał się z miejsca, stąpał kilka kroków i udawał, że zapala papierosa. Zawsze się bowiem zdaje, że każdy obcy coś niecoś wie o tem, czego nikt wiedzieć nie powinien. Potem znów stawał pod jakąś bramą i patrzył w okna swego mieszkania.

Nagle spojrzał pilniej, robiąc równocześnie krok w tył, jakby się jeszcze bardziej chciał ukryć.

— Jest, łajdak!—syknął.

Zaczął myśleć gorączkowo, patrząc uporczywie w okna.

— Pójść na górę—myślał,—obić go, jak psa, i zrzucić ze schodów... Ją do stu dyabłów... W nią rzucić tą wazą, stojącą na kominku... Jeśliby

bronił, ogłuszyć uderzeniem krzesła. Najlepsze będzie to ze złamaną jedną nogą, bo mu się już wielkiej krzywdy nie zrobi...

Robokszycki robił w tej chwili plan, jak marszałek polny. Zimną krew jednak w rozpatrywaniu szczegółów należało przypisać zimnu ulicy.

— ...Gdyby chciał uciec przez sypialnię,—kombinował dalej,—wywróci się na fotelu, który postawiłem przy wyjściu. Złapię go, o to niema obawy... Tylko w sypialni musiałbym bić w ciemności, czego nie chcę, bo nuż bydlę rzuci jakiem krzesłem i roztrzaska lustro...

Robokszycki się mocno nachmurzył; bardzo długo myślał.

— ...Podniosą wrzask, — myślał zaniepokojony,—a to będzie zupełnie niepotrzebne. Skandal!... Do dyabła...

Patrzył coraz pochmurniej, aż w jednej chwili mrugnął oczyma, prawie, że wesoło. Spojrzał na zegarek; było w pół do pierwszej.

— ...Strzelać? — mówił sobie,—to przecież nie teatr, a krzesła na taką małpę także szkoda...

Podszedł ku bramie i zadzwonił; zaledwie pocisnął guzik dzwonka, jakby się bał, że go na górze usłyszą; czekał niecierpiwie. Zadzwonił powtórnie... Brama skrzypnęła jękliwie, zupełnie, jakby się trumna otwierała na Sądzie Ostatecznym. Stróż spojrzał na Robokszyckiego i aż się cofnął; potem się chytrze uśmiechnął i podrapał w głowę, co znów nie było gestem, bardzo zbytecznym.

Robokszycki szedł cicho i ostrożnie po schodach; w tej chwili nie myślał o niczem, szedł z gotowym planem; nie filozofuje strzelec, kiedy idzie wprost na zwierza. Lecz kiedy stanął przed drzwiami, zrobiło mu się trochę nieswojo. Zatrzymał się chwilę... Przemknęło mu przez myśl, że nie odrobi tego, co się stało,—więc może lepiej, dla uniknięcia skandalu, wynieść się stąd tak samo cicho i wrócić jutro i porobić obrachunki, najpierw z nią, potem z nim, aby tylko nie łączyć tego w jedno. Może lepiej załatwić się po cichu, ale jutro...

Równocześnie wkładał klucz we drzwi. Cichutko, jak kot, przemknął się przez nie i zamknął na klucz z powrotem. Potem bardzo spokojnie zdjął futro i kalosze; wyjął chustkę i wytarł nos, poprawił krawat i jak najspokojniej otworzył drzwi, wiodące do okropnego pokoju.

DN.

Robert Hichens.

OGRÓD ALLAHA.

24

Przekład z angielskiego.

Domini spoglądała już dokoła nie—jak podziwem zdjęty wędrowiec w tym zaczarowanym ogrodzie słońca lecz—jak osoba, oswojona z nim. Mimo to, zachwyt nie odbiegł jej. Był tylko inny. Było w nim mniej zdumienia, więcej uczucia. Jak to słusznie rzekła, nie oswoiła się jeszcze z czarodziejstwem Afryki. Jej dziwa, jej przeciwieństwa wciąż jeszcze wzruszały ją i wciąż jeszcze wstrząsały. Lecz poczęła czuć już, jak gdyby należała do Beni-Mora, i jak gdyby Beni-Morze miało coś ubyć, gdy ona stąd odejdzie.

Od czasu jazdy do Sidi-Zerzur upłynęło dziesięć dni, dni—jak sen dla Domini.

To, czego szukała, jadąc tu do Beni-Mora, znalazła z pewnością. Dzieło jej przyniosło już owoc. Pomiędzy krajem jej dawnego życia i krajem, w którym się nowe życie jej poczynało, rzuciła zatokę, w którą się morze wtaczało. Dni jej płynęły, jak we śnie, lecz we śnie tym było drgnienie narodzin. Znużenie jej przeszło całkowicie. Po pierwszych godzinach podniety nie powracało już zupełnie. Mróz, który trzymał w zesztywnieniu jej zmysły, stajał zupełnie. Skądby okowy mroźne w tym kraju ognia? Tęskniła do spokoju i znalazła go tu pewnie,—był to atoli spokój bez zastoju. Pracowała w nim nadzieja i oczekiwanie, wolno, lecz wytrwale. Co się tyczy zapomnienia, budziła się czasami ze snu, prawie zdumiona i prawie zawstydzona na myśl, jak bardzo zapomniała i jak prędko zapomniała. Życie jej europejskie, przyjaciele — niektórzy bardzo blizcy i zżyci — byli teraz dla niej, jak daleki obłok na niebie, wciąż dalej lecący pod stałym wiatrem, który szedł od niej ku niemu. Wkrótce już zniknie, jak gdyby go nigdy nie było. Od czasu do czasu, z rodzajem zapalnego uporu, starała się powstrzymać lot, którego pragnęła, stale pragnęła. Mówiła do siebie: „Chcę pamiętać. To godne pogardy zapomnieć do tego stopnia. To nędznie być zdolnym do tego". A wtedy rzucała wzrok na góry pustyni, na arabów, grających w kamienie w cieniu muru kawiarnianego, albo na dziewczę w pomarańczowej o barwach ścmionych odzieży, napełniające dzban z koziej skóry u studni pod palmami, i znowu uległa temu kołyszącemu wpływowi, uśmiechając się, jak uśmiechają się ci, co słyszą szmer słodki wody źródeł Lety.

Wody te może słyszała jeszcze wyraźniej, kiedy błąkała się samotnie w ogrodzie Anteoniego. Upoważnił ją do tego przy pierwszem widzeniu. Skorzystała w pełni z jego zaproszenia, wiedząc, iż, gdyby żałował tego, onaby to odczuła. Dał jej atoli do odczucia, iż zgoła nie żałował.

W Anteonim Domini widziała nowy gatunek człowieka — światowego pustelnika. Znał on świat i nie nienawidził go. Krytyka jego i satyra rzadko były bez wdzięku. Nie gromił go, jak człek rozczarowany, który zbiegł w samotę w goryczy ducha, lecz raczej, jak człowiek wrażliwy z niezwykłem usposobieniem do romantyczności i może z tęsknotą do wolności, którą normalne życie oświecone zacieśnia zanadto. Kochał myśli, jak wielu kocha rozmowę,—ciszę, jak wielu kocha muzykę. Czasami rzekł słowo gorzkie lub smutne. Czasami zdawał się być blizkim czegoś srogiego. Czasami zdawało jej się, iż jest jak gdyby węzeł tajemny pomiędzy nim i handlarzem perfum w owej małej, zmroczonej izdebce, pomiędzy nim i temi zastępami, które modliły się u grobu Sidi-Zerzura. Chwile te atoli były rzadkie. Zazwyczaj zaś był miły i kapryśny, miał uprzejmość tych ludzi dobrych, którzy potrafią być ludzcy nawet w swem odłączeniu od świata zwyczajnego. Humor jego był solą z pełnią smaku. Wyobraźnia należała do tego rodzaju, który zajmuje, a nawet czaruje.

Czuła także i to, iż go zajmowała i iż był on człowiekiem, którego nie łatwo zajęłoby coś pospolitego. Zanadto wiele widział i nazbyt jasno sądził, by można go było łatwo przytrzymać na długo. Nie miała próżności zatrzymania go i nigdy w swem życiu świadomie nie starała się ani przyciągnąć, ani zatrzymać mężczyzny; była atoli dość na to kobietą, by miłem jej było, iż on znajduje przygodną przyjemność w jej towarzystwie.

Razu pewnego nazwała go żartami duchem pustyni. Uśmiechnął się jak gdyby z zadowolenia.

Wiedzieli o sobie niewiele, mimo to stali się druhami w ogrodzie, którego on nigdy nie opuszczał.

Pewnego dnia rzekła do niego:

— Lubisz pan pustynię. Dlaczego-ż pan nigdy nie pójdzie w nią?

— Wolę patrzeć na nią — odpowiedział.—Gdy się jest w pustyni, oszałamia ona.

Uprzytomniła sobie, co czuła podczas pierwszej swej jazdy z Androwskim.

— Jestem przekonana, że pan się boi pustyni — rzekła wyzywająco.

— Bojaźń czasami jest początkiem mądrości—odpowiedział.— Lecz pani się nie boi, wiem o tem.

— Skąd pan wie?

— Widzę panią galopującą codziennie w słońcu.

Zdawało jej się, że słyszy w jego głosie nutę przestrogi—czy nagany. To uczyniło ją nieufną.

— Mniemam, że pan wiele traci, nie cwałując tak samo w słońcu—rzekła.

— Kiedy ja nie umiem jeździć konno.

To jej przypomniało znowu Androwskiego i jego gniewne postanowienie. Nie było to postanowienie dzienne. Zmęczony i rozbity po wyprawie do Sidi-Zerzura, uszkodzony na ciele upadkiem — wiedziała to od Batucza, iż musiał wzywać lekarza w Beni-Mora, by mu przewiązał ramię, — na drugi dzień o jutrzni krokiem cichym przeszedł przez werendę. Właśnie na krok ten zbudziła się i leżała spokojnie, gdy on schodził ze schodów. Ostre atoli zarżenie konia zbudziło w niej niepohamowaną ciekawość. Wstała z łóżka, okryła się futrem i wyśliznęła na werendę. Słońce nie było jeszcze na linii horyzontu pustyni, ciemność nocy mieszała się z szarością świetlistą. Powietrze było prawie zimne. Palmy wyglądały widmowo, nawet strasznie, pustka i cisza ogrodu tęsknie i niebezpiecznie. Nie była to godzina do czynności, do postanowień, lecz do snu, do uciszeń.

Na dole zaspany chłopiec arabski, z kapturem, naciągniętym na głowę, trzymał za uzdę kasztanowatego konia. Androwski wyszedł z pod arkady. Miał czapkę nasuniętą na brwi, która zmieniła jego postać tak, iż gdy się patrzało z góry, wyglądał na grooma lub stajennego. Stał chwilę i spoglądał na konia. Zatem utykając, przeszedł na lewą stronę i wsiadł na niego dbale, idąc za wskazówkami, jakich mu poprzedniego dnia udzieliła Domini: unikać dotknięcia konia nogami, trzymać uzdę, zanim się wsiądzie, i opaść na siodło jak można najlżej. Zauważyła, że wszystkie jej polecenia były spełnione z nieskończoną bacznością. Gdy już był na koniu, starał się utrzymać prosto, lecz wysiłek ten był za wielki dla jego rozbitego i osiniaczonego ciała. Pochylił się naprzód nad łękiem siodła i pojechał w szarości świetlistej dnia ku pustyni. Koń szedł spokojnie, jak gdyby był urzeczony tajemnicą cichej godziny. Jeździec i koń zniknęli. Chłopiec arabski pociągnął w kierunku wioski. Lecz Domini pozostała, patrząc w szlak po Androwskim. Nie widziała nic, prócz palm szarych i atmosfery widmowej, w której leżała pustynia. Nie mogła wszakże ruszyć się z miejsca, aż póki czerwony grot nie wystrzelił na wschodzie ku ostatniej gwieździe znikającej.

Pojechał odbyć swą lekcyę w pustyni.

W trzy dni potem jechała znowu z nim razem. Nie dała mu poznać, iż była na werendzie, i on nie napomknął słowem o swym wyjeździe w tę jutrznię. Mówił bardzo niewiele i zdawał się być bardzo zajętym swym koniem; Domini spostrzegła, iż był on więcej, niż gotowym na trud — iż był on zdolnym do opanowania ćwiczenia fizycznego, które było nowem dla niego. Wielka jego siła pomogła mu niemało. Tylko człowiek żelaznego zdrowia mógł tak szybko przemódz skutki pierwszego dnia upadku i walki. Zupełna bierność jego dla wysiłków i żelazna wola, która je zarządzała, podobały się Domini. Uważała je za rzeczy godne mężczyzny.

Trzy razy jeszcze jeździli ze sobą: dwa razy do oazy przez brunatną wioszczynę, raz—w pustynię drogą karawanową, o której mówił jej Batucz, że wiedzie wreszcie do Tombuktu Nie jechali nią nazbyt długo, lecz Domini poczuła od razu, że droga ta ma dla niej więcej uroku, niż droga do Sidi-Zerzura. Było tu więcej piasku w tej stronie pustyni. Małe wzgórki, na których rosła licha strawa dla wielbłądów, były tu rzadsze, tak iż równia gruntu była tu bardziej określona. Tu i owdzie wielkie zaspy złotem barwionego piasku wznosiły się, jedne proste, jak mury grodu, inne ciosane, jak miejsca w amfiteatrze, inne jeszcze zębate, jak forty, to znów falujące, jak kształty dzikich zwierząt. Rozległej panoramy pustyni nie przerywał widok żadnej oazy—i obszar ten nasuwał wszechwładnie myślom Domini: Wieczność.

— Gdy udam się kiedy w daleką drogę do pustyni, będę jechała tylko tą drogą—rzekła do Androwskiego.

— Pani ma zamiar udać się w daleką podróż? — rzekł, patrząc na nią jak gdyby zdziwiony.

— Za kilka dni.

— Sama?

— Przypuszczam, że najmę karawanę, dwu lub trzech arabów, kilka koni, namiot jeden lub dwa. To łatwo urządzić. Batucz mi to załatwi.

Androwski wciąż patrzał zdziwiony i jakby pół-gniewny. Popędzili konie śród zasp piaszczystych. Było już blizko zachodu, w powietrzu było tchnienie wieczoru, czyniące świeżość jego jeszcze bardziej wieczystą, bardziej obrzednie czystą, niż podczas dnia. Powietrze było tak czyste, że kiedy spojrzeli za siebie, mogli byli widzieć flagę, powiewającą na białej wieży wielkiego hotelu w Beni-Mora, wiele kilometrów wstecz między palmami,—tak spokojne, iż mogli byli słyszeć szczekanie psów kabylskich w pobliżu namiotów nomadów, rozbitych w zielonej krainie u źródeł wodnych starego Beni-Mora. Gdy patrzali przed siebie, zdawało im się, że widzą tysiące staj równi, ciągnącej się w dal i w dal, aż póki blado-żółtawa ich brunatność nie stawała się ciemniejszą, wgrążona w dziwną błękitność, jak w błękit gorącego tumanu nad południowemi jeziorami, a potem w fiolet, a potem — w coś, czego nie można widzieć, w coś wzywającego, czego głos słyszała wyobraźnia Domini, jak odległe echo przenikliwe, ilekroć była w pustyni.

— Nie wiedziałem, że pani ma udać się w podróż — rzekł Androwski.

— Czyś pan zapomniał?—rzuciła mu żartobliwie.—Wszak mówiłam panu na wieży, iż mniemam, że tam musi być spokój. Otóż za kilka dni pojadę poszukać go.

— To zdaje mi się już tak odległem, proszę pani—rzekł mrukliwie.

Czasami, kiedy mówił do niej, zniżał głos tak, że z trudem mogła go słyszeć; sprawiał wtedy wrażenie człowieka, który rozmawia sam z sobą.

Światło czerwone od słońca zachodzącego upadło na zaspy piaszczyste. Kiedy niemi jechali, konie ich wyglądały, jak brodzące po cichem morzu krwi. Niebo na zachodzie płonęło ogromnym pożarem, w którym zmagały się rzeczy katowane i wyciągały ramiona skręcone.

Znajomość Domini z Androwskim nie postąpiła tak łatwo i tak przyjemnie, jak jej obcowanie z hrabią Anteonim. Przekonała się, iż był on tem, co nazywają „człowiekiem trudnym“. Czasami tylko, jak

gdyby pod wpływem jakiejś tajemnej i gwałtownej pobudki, mówił on z naturalnością pozorną, mówił, być może, wbrew woli. Ilekroć zaś tak czynił, zauważyła, iż zawsze było w tem coś lub z wątpienia, lub ze zdumienia. Spostrzegła, iż był nieskory do wiary, skory do nieufności. Spostrzegła także, iż wiele rzeczy budziło w nim podziw, i czuła to pewnie, że prawie ze wszystkiem tem ukrywa się przed nią—i iż ukryłby wszystko—gdyby jego własna wola nie zawodziła go chwilami. Powściągliwość ta była natężona, jak wszystko w nim. Była w tem jakaś dzikość, która jawiła swą istność. Nastręczał jej zawsze uczucie siły, fizycznej czy umysłowej. Lecz także nastręczał zawsze uczucie niezgrabności. Dla kobiety, jak Domini, niezgrabność stanowiła za zwyczaj o słabości jawnej lub ukrytej. W Androwskim zdała się stanowić o pasyi, jak gdyby była powołana do kruszenia zapor, do łamania skróś wrót żelaznych, do wyrwania się na przestwór. A wtedy—cóż wtedy? Drżeć przed nim? Po cóż by to czynił? Nie wiedziała. Wiedziała przecie, że nawet w jego niezgrabności zdało się być tętno, nerw, mięsień, wena—wszystko, co się składa na siłę i zręczność.

Mowa była osobliwie uciążliwą dla niego. Milczenie zdało się być jego rzeczą przyrodną, nie przykrą. Po kilku słowach zapadał w nie i trwał w niem. I mniej był pomny siebie w milczeniu, niźli w mowie. Domini przypuszczała, iż czuł się bezpieczniejszym, bardziej mężczyzną, kiedy nie mówił. Użycie mowy było z jego strony jakoby ustępstwem.

Posiadał szczególny dar — iż dawał odczuć swą obecność, kiedy milczał, jak gdyby tylko co przestał był mówić—i żar wiał z niego i unosił się jeszcze w przestrzeni.

Nie wiedziała, czy należał do tak zwanego dobrego towarzystwa, czy nie.

Gdyby kto spytał ją, zanim przybyła do Beni-Mora, czy jest możebnem, żeby odbyła cztery przejażdżki sam na sam z mężczyzną, obcowała z nim—choćby tylko przez kilka chwil—codziennie w ciągu dziesięciu dni, siedziała naprzeciw niego, z nim razem, u stołu w ciągu tego czasu, i była zdolną nie zdać sobie sprawy, czy jest on człowiekiem z jej towarzystwa, czy nie, przez urodzenie i wychowanie, czując, iż sprawę tę odkłada,—odrzekłaby bez wahania, iż jest to zgoła niemożebnem. A jednak było tak. Nie mogła była orzec o nim stanowczego zdania. Nie mogła była znaleźć dla niego stanowiska. Nie mogła wykreślić w swej wyobraźni, jaką była jego rodzina, jakim on był w młodości, w wieku męskim. Nie mogła go sobie wyobrazić związanego jakiemibądź więzami rodzinnemi, matki, siostry, żony, dzieci. Kiedy patrzała na niego, myślała o nim, robił na niej wrażenie czegoś samotnego, odłączonego, jak rzeczy w powietrzu.

Nadto był on bardziej mężczyzną, niż inni, i wionął pewnego rodzaju ludzkiem tchnieniem, jak ogień wionie gorącem.

To coś dziecinnego, co było w nim, prawie że ją tropiło i zmuszało do pytania, czy czasami długie obcowanie z ludźmi nie zaćmiło w niej samej jej przyrodzonej prostoty. To dzieciństwo atoli widziała w nim tylko zrzadka i mniemała, iż on także skrzętnie stara się je ukryć.

Miał on niezaprzeczenie siłę wzbudzania uczuć w innych. Wiedziała o tem z własnego doświadczenia.

Podziwiała go. Bo też często budził on w niej podziw.

Mimo jazdy, chwil rozmowy w hotelu, na werendzie, nie czuła się z nim poufalszą, niż była w początkach. Czasami, owszem, zdawało jej się, iż była mniej poufałą obecnie i iż chwila, gdy pociąg wypłynął z tunelu na świat błękitny, była momentem, w którym byli dla siebie najbliżsi, odkąd skraje ich życia się zeszły.

Nigdy dotychczas nie rzekła sobie stanowczo: „Czy on mi się podoba, czy nie?“.

Obecnie, gdy siedziała z hrabią Anteonim, obserwując południe, pół-senny, pół-marzący wyraz wypłynął na jej twarz. Wyglądała jak gdyby surowo i jak gdyby groźnie.

Androwski i hrabia Anteoni nie zeszli się nigdy ze sobą. Hrabia widział Androwskiego nieraz w odległości ze swego ogrodu, lecz Androwski nie widział go. Zebranie, które teraz miało się odbyć, nastąpiło dzięki Domini. Mówiła nieraz Androwskiemu w różnych okolicznościach o piękności romantycznej tego pustynnego ogrodu.

— Jest to ogród jak gdyby z *Tysiąca i jednej nocy* — rzekła razu jednego.

Androwski nie zdawał się być oświeconym—i to ją pobudziło do zapytania go wręcz otwarcie, czy czytał tę słynną książkę. Nie czytał. Zwątpiła nawet, czy słyszał kiedy o niej. Poczęła mówić mu o hrabim Anteonim, o jego ogrodzie, malując zlekka jego kapryśne usposobienie, jego miłość dla arabów, jego zamiłowanie samotności i życia afrykańskiego. Wspomniała także, iż był rodem z Rzymu.

— Lecz nie należy na pewno do białych, ręczę za to—dodała.

Androwski nic nie rzekł.

— Powinien pan pójść i zobaczyć ogród — ciągnęła dalej.—Hrabia Anteoni pozwala zwiedzającym roskoszować się jego urokiem.

— Jestem pewien, że to musi być piękne, pani — odparł raczej z chłodem, jak się Domini wydało.

Nie rzekł, iż chciałby go zobaczyć.

Zawzięte postanowienie jego co do jazdy poruszyło ją bardziej, niż zdawała sobie z tego sprawę. Często widziała przed sobą pochyloną jego postać, która wyglądała zmęczona, jadącą samotnie w szarość świetlistą; wstającą tak wcześnie, by czyn ten, tak poziomy i tak nieprzełomny, pozostał przed nią w ukryciu. Nie wiedział o tem, że widziała go, nie tylko tego ranka, lecz i wielu następnych, gdy wyjeżdżał na studya swej nowej sztuki w ciszy godzin samotnych. I oto może ta okoliczność, że widziała go, że obserwowała go, aż póki koń i jeździec nie znikali pomiędzy palmami, pobudzała ją teraz do ciągłego pragnienia, by on także wziął udział w odczuciu czarów ogrodu, by poznał go, jak ona poznała.

Nie rozprawiała atoli ze sobą w tej sprawie. Wiedziała jedynie, że pragnęła, że obecnie zamierzyła, by Androwski przestąpił białe wrota ogrodu, by był spotkany na piasku przez Smaina z różą.

DCN.

TREŚĆ NUMERU 24-go.

Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski.*
Marzyciel. *Władysław St. Reymont.*
Przykre położenie. *Kornel Makuszyński.*
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: **4** rb. rocznie, **2** rb. półrocznie; **1** rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:
Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza, № 8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie